ROK PIĄTY.

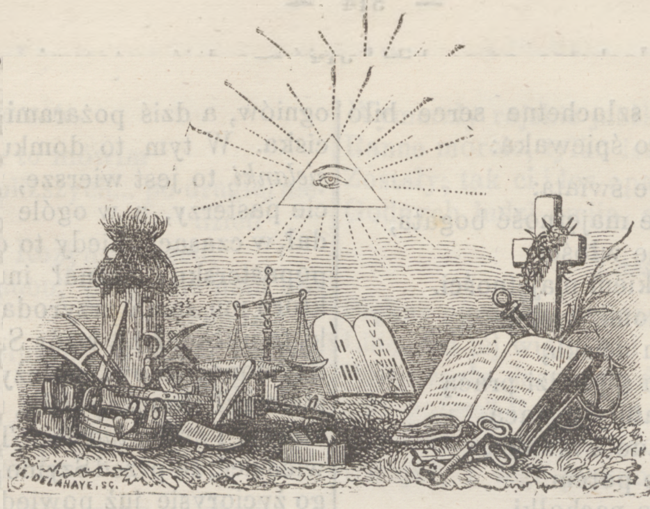
—

№ 38.

WARSZAWA

d. 4 (16) września

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

16ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Miłosierne uczynki są skarby sprawiedliwości, przez które za pomocą łaski Bożéj, ziemskie rzeczy przenoszą się na niebieskie. *Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Bartłomiéj i Szymon bracia Zimorowicze.

—

Za czasów panowania w Polsce Zygmunta III króla, żył we Lwowie, w Galicyi rzeźbiarz Zimorowicz. Miał on na przedmieściu *Gliniańskie* zwanem gospodarstwo i wiódł żywot spokojny. Był on ojcem braci Zimorowiczów, o których wam tu powiedzić coś chcemy. Miła to była ustroń i dosyć ludna, bo przedmieście Gliniańskie miało 200 domów aż do r. 1648, w którym w czasie wojny spalone zostało. W sąsiedztwie Zimorowiczów mieszkał Szymonowicz, ojciec sławnego poety, o którym pisaliśmy już w Czytelni. Bujały młode chłopcy, bawiąc się razem, i wyrastały na młodzieńców, którzy kiedyś chlubne miejsce w piśmiennictwie naszem zająć mieli.

Bartłomiéj Zimorowicz urodził się 20 sierpnia 1597.

Żyli na drugiem przedmieściu Lwowa *Kaliczą - górą* zwanem niejacy Duktyniccy także mieszczanie, z których córką Katarzyną Bartłomiéj Zimorowicz się ożenił. Na ich to wesele młodszy brat Szymonek napisał bardzo piękne wiersze, składające się z pieśni, dał im tytuł *Roxolanki* (*) i ofiarował nowożeńcom, nie dbając, jak sam mówi, czy pracę jego potomne czasy obaczą.

Ale Szymon był dotknięty wtedy już mocną chorobą piersiową, przeczuwał bliski zgon swój; życząc tedy nowożeńcom szczęścia i długiego życia, między innemi powiada:

> Ja zaś cichuchno więdnę, jako letnie siano,
> Które strąciła ze pnia ostra stal porano;

życzje za mnie, niech wam Bóg przedłuży tyle żywota, ile mnie go skróci. Jakoż w 15 tygodni po tem weselu brata Szymon umarł, mając lat zaledwie 25 wieku. Oto ustęp mały z jednéj jego Roxolanki, który zarazem da

(*) Dziszejsza Galicya nazywała się Ruś Czerwona albo Roxolania. Roxolanki, znaczą dziewice z Roxolanii.

wam pojęcie, jakie szlachetne serce biło w piersi tego ludowego śpiewaka:

Ja śpiewam wedle świata:
Za fraszkę u mnie majętność bogata,
Fraszka urodzajne włości
I nieprzejrzane okiem majętności.
Niech drudzy łakomi, zysku
Szukają w innych ucisku,
Niechaj nędznych (*) ludzi pracą
Nienasycone szkatuły bogacą,
Zbiorą srebro blade z złotem,
Ubogich napojone potem.
Ja nic nie dbam o pachołki,
Ani o przednich dygnitarzów stołki;
Obejdę się bez bankietów,
Bez smaków nowych, bez krętych (**) pasztetów.
Nie pragnę mieć na mym stole,
Co rodzi morze, powietrze, las, pole...
Cnota u mnie w pierwszéj cenie,
A po niéj zdrowie, potem dobre mienie;
Grunt u mnie rozumna głowa,
Wesołe serce, miarkowana mowa.
Przyjaźni chronię się wielu,
Zdrów bądź jedyny u mnie przyjacielu.
Chcę Twórcy memu służyć,
Chcę darów wielkich godnie użyć,
Chcę z nim żyć wiecznie, gdy w ziemię
Śmierć próżna wrzuci ciała mego brzemię.

Bartłomiéj Zimorowicz żył do roku 1682. Zachowany od morowego powietrza, trzy razy na podziękowanie Matce Boskiéj odbywał piesze pielgrzymki do Częstochowy. Z początku zajmował się gospodarstwem, późniéj sprawami miejskiemi, bo został radcą i burmistrzem Lwowa. Dobrze się zasłużył krajowi, bo roku 1672 podczas oblężenia Lwowa przez turków, ocalił to miasto odwagą i roztropnością swoją. Po śmierci żony, z którą żył długo, bo lat 24, wystawił sobie na *Kaliczéj-górze* dworek, który nazywał portem swojéj starości, szukając w nim schronienia. Ustroń ta, mówi Zimorowicz, miléj mi się nad inne uśmiecha; ona widziała mój uśmiech dziecinny, pielęgnowała chłopięcy, młodzieńczy umysł pierwiastkami nauk kształciła. Dym jéj świecił mi w méj młodości jaśniéj od płomienistych ogniów, a dziś pożarami zniszczona, łzy wyciska. W tym to domku pisywał on swoje *sielanki,* to jest wiersze, w których błogie życie pasterzy, a w ogóle wieśniaków opowiadał, w czasach, kiedy to człowiek żył na ziemi popastersku i nieznał innych potrzeb nad te, które mu sama przyroda nastręczała. Sielanki te układał na wzór Szymonowicza, i jeżeli Szymonowiczowi należy się ta zasługa, że stworzył *sielankę polską,* to ją Zimorowicz rozszerzył i *zrobił ludową.* Trzeba wam bowiem wiedzieć, że przed Szymonowiczem, jak to w jego życiorysie już powiedziano, takie obrazki życia pasterskiego opisywali tylko połacinie; więc dlatego Szymonowiczowi przynależy się nazwisko twórcy sielanki polskiéj, że on ją po polsku pisać zaczął, i chłopków oraz pasterzy polskich w niéj opisywał; a że Zimorowicz jeszcze więcéj *swojskości* w sielankach swoich obejmował, dlatego przyznają mu zasługę, iż sielankę uczynił więcéj ludową. Wiersz Bartłomieja Zimorowicza jest łatwy, gładki, język czysty i jędrny choć prosty. Już to blisko 200 lat temu, jak Zimorowicze pisali, a posłuchajcie tylko, jak piękny i zrozumiały dla nas ich język.

Ponieważ Zimorowicze byli poeci, którzy opisywali życie pasterzy i wieśniaków, w piśmie zatem niniejszem, jako ludowem, nie będzie zbyteczną podać czytelnikom całą niemal, bo z małemi tylko wyjątkami sielankę, pod tytułem *Swaci,* napisaną przez starszego Zimorowicza. Jest to rozmowa trzech pasterzy Lassoty, Stokłosa i Daniłki kobeźnika, czyli śpiewaka ludowego z Podola.

Lassota.

A wiesz że co Stokłosie, że za krótką chwilę
Wrócą się do nas znowu miłe krotochwile,
Gdy po letnich robotach i codziennych pracach
Wytchnąwszy, użyjemy na smacznych kołaczach,
Kiedy wszyscy doroczne odprawiwszy żniwa,
Pójdziemy w dni świąteczne do dobrego piwa.

Stokłos.

Pójdziemy, lecz nie jutro, dopiero albowiem
Żyto kwitnąć poczyna.

(*) Ubogich.
(**) Kręconych.

Lassota.

O dalszych to mówim
Czasach; mówmyż o bliższych... po drugiéj niedzieli
Będziemy u nadobnéj Rozyny weseli;
Powiedziem ją do ślubu, przyjdzie nam obchodzić
Swadźbę, do stołu służyć i w tańcu réj wodzić,
Pieśni składać.

Stokłos.

To prawda, zawczasu na chwile
Zdobądźmy się na pieśni, zwłaszcza przy Danile
Kobeźniku podolskim, który dobrze wiersze
Rozumie — ty zaczynaj, twoje miejsce pierwsze.

Lassota.

Pięknie kwitnie czeremcha, pięknie kwitną trześnie,
Dlatego ich co żywo szarpią w pierwszéj wieśnie,
Kwiat zwiędnie smakowity, nie dojdzie jagody;
Każdy pragnie kwiateczki rwać z młodéj urody:
Co się wszystkim podoba, rzadko wcale bywa,
Smaku ten nie kosztuje, kto pierwszy kwiat zrywa.

Stokłos.

Już drugi marzec mija, jako w sadzie moim
Szczepek pomarańczowy pociesza mię swoim
Podrostem; jam go szczepił, a po mojéj głowie
Pożytek zbierać będą potomni wnukowie.

Lassota.

Na łące rozłożystéj, u krynicznéj wody
Pasła się łania stara i jelonek młody:
Obaczył to myśliwiec, łanię wnet opuścił,
Ale się za jelonkiem prędkiem biegiem puścił;
Lecz mu go chybka młodość uniosła w las rączo...
Tak się trafia tym, którzy żądają gorąco.

Stokłos.

Trzecia to zima idzie, kiedy moje sady
Zniszczyły częścią mrozy tęgie, częścią grady:
Wymarzły rajskie jabłka, i piękne jesionki,
Ranne morele, tylko leśnice i płonki
Zostały; tak ci i los opak często robi:
Godnych ludzi omija, a mniej godnych zdobi.

Lassota.

Piękny ogródek, jeszcze piękniejszą urodził
Lilię, ani jéj wiatr, ani deszcz zaszkodził,
Bujno rosła, jasnością śniegi zawstydziła,
Cóż potem? Rozyna ją swawolna urwała
Do wieńca, mało się co wieńcem nacieszyła:
Uwiądł, i tego piękność piękności zbawiła.
(pozbawiła)

W podobny sposób jeszcze ci pasterze rozmawiają, nareszcie odzywa się

Stokłos.

Zazdroszczę wam o panny, że każdy kwiat polny
Zrywać na wieniec zawsze macie przystęp wolny;
Tylko ty mój narcysie! kwiateczku kochany
Żadną ręką śmiertelną nie będziesz urwany,
Ty stoisz w czystem polu, nad strumieniem bliskim,
Któryć nogi polewa swym potokiem śliskim,
Poranek czystą rosą kropi twoje wargi,
Słowik, nie zapomiawszy starodawnéj skargi,
Kwiląc pieśni całą noc, ptastwo drobne głuszy,
Którą twe melodją (śpiewem) uwesela uszy.

Daniłko.

Jeszcze jednę pieśń przydam; chociem starszy laty,
Przecie się nie powstydzę wyskoczyć przed swaty.
Jak tylko narzeczona poszła z téj dziedziny,
Płaczą po niéj i góry i niskie doliny,
Płaczą z pastuszętami, rzewliwe sielanki,
I Janek zawiesiwszy na dębie multanki,
Z płaczem rzekł: Bóg was żegnaj mieszkańcowie leśni,
Jednéj, bez *ukochanéj* nie zagram wam pieśni!
Dla niej i ogródeczek, który ręką własną
Sadziła, odmienił się: już w nim róże gasną,
Już gwoździki blednieją, już lilije śliczne
Potruchlawszy, łzy po niéj toczą z siebie mleczne;
Rozmaryn opuszczony, król wonnego ziela

Gałązeczki opuścił lubego wesela;
Zgoła najmniéjszy kwiatek po niéj tęskniąc, mdleje,
Już też i od północy wiatr ostrzejszy wieje,
Przyjdź do nas *ukochana!* znowu wiosna wstanie,
Znowu słowiczek przez noc śpiewać nie przestanie,
Wrócą się z tobą do nas ulubione czasy,
Pola w kwiatki, w młody liść odzieją się lasy.

Rady dla ludu.

W następną niedzielę, wcześnie jeszcze przed nieszporami przyszli starsi gromady na plebanię, oświadczając ks. proboszczowi, iż umówili się pomiędzy sobą, że każdy z gospodarzy da na szkółkę po złotemu jednemu z morgi; proszą więc dobrodzieja, aby im w téj rzeczy dopomógł, i tę ich deklaracyę spisał i do urzędu podał.

Z prawdziwą widzę pociechą, odrzekł ks. proboszcz, iż moje słowa nie były grochem rzuconym o ścianę, i z téj waszéj ochoty dobrze sobie tuszę o waszéj przyszłości. Nie dosyć bowiem pozbyć się złych nałogów, potrzeba jeszcze umysł oświecić, ażeby umieć dobrze czynić; a pierwszym krokiem ku temu, jest szkółka, która jeżeli nie dla was samych, to dla dzieci waszych stanie się ożywczym zdrojem, w którym czerpać one będą dla siebie naukę, oraz zamiłowanie porządku, pracowitości, trzeźwości i gospodarności, będące podstawą dobrego bytu. Za dobrym bytem pójdą i lepsze obyczaje, gdyż dziś po większej części nędza, pijaństwo i rozpusta jest przyczyną złego. Niechaj więc poczciwym zamiarom waszym Pan Bóg błogosławi, na którą to intencyę odprawię zaraz jutro mszę świętą, bo kto z Bogiem poczyna, to i Bóg z nim.

Następnie ks. proboszcz spisał deklaracyę obecnych gospodarzy, a ci ją wraz z prośbą do urzędu znakami krzyża podpisali, i uścisnęli nogi proboszcza, dziękując, że im swéj pomocy nie odmówił.

Po skończonych nieszporach, wyszedł ks. proboszcz na cmentarz i tak się odezwał do zebranego ludu:

Mówiłem już wam poprzednio o rozmaitych grzechach, sprowadzających podwójną chorobę, bo chorobę duszy i ciała, na zakończenie przedstawię wam skutki próżniactwa,

Widzicie, jak to woda w rzece, która bezprzestannie płynie, nigdy się nie zatęchnie, a w kałuży to się wnet zepsuje. Otóż i człowiek kiedy pracuje, to jest jak ta rzeka, co płynie, a gdy próżnuje, to jest jak to bagno, co stoi. A przecież dosyć przejechać jednę i drugą wieś w tym kraju naszym, aby się naocznie przekonać, ile to próżniaków znajduje się pomiędzy wami. Zapewne, że każdy z was musi zaorać, zasiać, zebrać z pola i wymłócić, bo cóżby jadł, gdyby tego nie zrobił; lecz gdy robicie w polu, to jak z musu, jak niewolnicy, i bez żadnéj ochoty! Dlatego też pole u was (wyjąwszy niewielu) nie jest starannie uprawione i tyle tylko, że to ziarno zagrzebiecie, ale upodobania w porządnéj robocie, rzadko który z was ma. Któryżto z was ochoczo idzie do pracy, śpiewając Bogu na chwałę, i z nadzieją w sercu, że Bóg pobłogosławi? Jeszcze kobiety prędzéj można napotkać, co są pracowite i ochoczo w pole biegnące, ale chłopa, to bardzo rzadko. Wstanie chłop rano i przeciąga się a ziewa, i zaledwie Boga pochwali, już ci zagląda w garnek! Niechżeby tam w garnku nie było, dopieroby baba miała się zpyszna! Siądzie potem przy owym garnku i zajada pomału, układając w żołądku łyżkę po łyżce, jakby snopki w stodole. Potem wyjrzy na świat, przyglądając się słońcu, głową kiwnie, czapkę na głowę wsunie i do izby wraca, mówiąc: iżby trzeba iść kosić, ale cóż, kiedy kosa nie poklepana, więcby ją dopiero należało klepać, i pożyczać babki u sąsiada. „Ej co tam! to się jutro posiecze, a na łąkę dość zajrzeć!“ Idzie więc bez kosy zaglądać na łąkę, a idzie krok za krokiem z głową zwieszoną jak desperat; dojdzie do łąki, spojrzy i wraca do domu, czekając południa, aby koniom zarzucić garść siana i samemu wypróżnić miskę jednę i drugą. Po południu zdaje się chłopu, że zaczynać nie warto, bo się gdzieś i jakoś chmurzy; a więc przeszedł dzień na próżniactwie, a dni takich może połowa w roku. Jeżeli zaś pójdzie na pańskie, to aby tylko pan albo karbowy z oczu, to zaraz ochota w robocie słabieje, a poczyna się gawęda i obmowa dworu i sąsiadów; z tąd to

nawet na oznaczenie leniwca, co tylko robi aby zbyć, weszło w przysłowie: *pracuje jak po zacięgu.*

Z próżniactwa krew gęstnieje, pokarm źle się trawi, z czego powstają różne boleści w żołądku i kiszkach, a stawy w kościach oraz ściągacze odwykają od ruchu, przeto każda praca staje się dla nich późniéj mozolniejszą. Z próżniactwa wyradza się też ważna choroba, a tą jest głód na przednówku.... W tym głodzie zamiast chleba i ziemniaków, zmuszonym się jest zajadać *lebiodkę* i inne strawy, zaledwie mąką obsypane, i żyje się gorzéj od bydlęcia zielskiem lub *bedłkami*, częstokroć bardzo szkodliwemi; a stąd choroby, puchlina, zatrucie, a w wielu razach i śmierć, co ją samochcąc przywabił próżniak na siebie.

Owoż widzicie sami, moi kochani, jak to z grzechami waszemi chodzą też ręka w rękę rozmaite choroby. Toć to *pijaństwo, obżarstwo gniew i próżniactwo*, one was gubią po większéj części i już tu na ziemi czynią wam życie niemiłe, mizerując wasze ciało; a cóż dopiero mówić po śmierci!... tam już czart czycha na duszę i na wieczne potępienie ją wiedzie. Więc uchylając się od wszelkiéj pokusy, w kościele, a nie w karczmach szukajcie pociechy; w miarę pożywajcie chleb Boży, nie zapalajcie się gniewem lada czego, i ochoczo w imie Boże bierzcie się zawsze do pracy, a wnet sami zobaczycie, jak się to przyda dla duszy i dla zdrowia waszego na pożytek.

Ponieważ rozmaite jagody, oraz *grzyby* i *bedłki* stanowią nie dla jednej rodziny ważną część pożywienia, i gdy dar ten Boży w miarę i rozsądnie, to jest ze znajomością rzeczy użyty, może być pożywnym i zdrowym pokarmem, kiedy przeciwnie użyty bez stosownej ostrożności, liczne nieraz o śmierć przyprawił rodziny, obowiązkiem tedy jest każdego obeznać się dobrze z rozmaitemi ich rodzajami, aby samochcąc nie zaszkodzić własnemu i własnej rodziny zdrowiu, lub nawet życia jej na niebezpieczeństwo nie narazić.

Boleść i pociecha.

Pogodnie i jasno było na świecie, bo wiosna ta najmilsza pora roku, znowu zaczęła stroić ziemię jak pieszczone swoje dziecię, a wionąwszy lubém ciepłem na całą przyrodę, napełniła radością wszystko, począwszy od człowieka, aż do ostatniego robaczka, pełzającego na źdźble świeżo rozwiniętéj trawki. W pięknym jednak dworze Bukowskim głucho było i smutno, milczenie zalegało obszerny dziedziniec; w przybocznych zabudowaniach z posępnie spuszczonemi głowami snuła się poczciwa służba, sama nie wiedząc co robi. Świetne salony pokryte kirem żałoby, od czasu do czasu rozlegały się cichym szmerem przechodzących; w jednym tylko z najodleglejszych pokojów słyszeć można było głos, a raczéj jęk ludzki. Był to jęk najboleśniejszy ze wszystkich dźwięków wyrażających cierpienia ludzkie, bo dobywał się ze zranionéj piersi matki wdowy, opłakującéj skon ostatniego dziecięcia. Przy łóżeczku, na którém dopiero co zasnął snem wiecznym pięcioletni chłopczyk, z rozwianym włosem, z twarzą wybladłą od niewywczasu i boleści, z oczyma bez łez stała nieruchomie pani Zacniewska bogata dziedziczka Bukowy, która w téj chwili w ostatnim synu straciła skarb swój najdroższy na ziemi. Nieco daléj Małgorzata dawna karmicielka i piastunka zmarłego panicza, ocierając łzy wełnianym fartuchem, szeptała przerywanym głosem pacierze, nieśmiejąc zbliżyć się do strapionéj pani, aby ją pocieszyć, gdyż i ona macierzyńskiém choć prostém sercem pojmowała, że na podobną boleść jedna jest tylko pociecha, to jest ta, którą sam Bóg wierzącym sercom udziela. Zatopiona w swojéj modlitwie, nie spostrzegła nawet poczciwa kobieta, że już z dobre pół godziny jeden ze służących pani Zacniewskiéj stał na progu, dając jéj jakieś znaki, i dopiero odwróciwszy się przypadkiem, spostrzegła go i dawane znaki, któremi ją wzywał; lecz nim zdołała go zapytać o cel przybycia, drzwi powtórnie się otworzyły i szanowna postać siwowłosego kapłana ukazała się w pokoju. Szelest kroków zbudził nieszczęśliwą matkę z odrętwienia; mimowolnie odwróciła głowę, a poznawszy w przybyłym ks. Wiłuckiego, dawnego przewodnika i przyjaciela domu, wyciągnęła doń witającą rękę.

— Błogosławieni, którzy cierpią, odezwał się kapłan.

— O ojcze, przerwała mu pani Zacniewska, czyliż i to nazwiesz błogosławieństwem, że mi Bóg odebrał ostatnią pociechę, i że teraz sa-

motna jak drzewo w pustyni będę żyła tylko po to, aby codzień z upragnieniem przywoływać śmierci?

— Przyjdzie ona i sama za wolą Bożą, rzekł znowu ksiądz Wiłucki, a ktokolwiek prawdziwie zrozumiał świętą powinność miłości bliźniego, ten nigdy samotnym i opuszczonym nie będzie na ziemi.

Wiem córko moja, że cię zbyt ciężko jeszcze boli doznana strata, i żeby słowa moje trafiły do twego przekonania, dosłyszawszy o twojem cierpieniu, przybyłem jako ojciec do swego dziecięcia, tem więcéj, że miałem dla ciebie przygotowany podarek, który i sam usprawiedliwiłby cel mojéj podróży. Tu szanowny starzec rozwinął przyniesiony pakiet i wyjął z niego niewielki obraz w złoconych ramach, przedstawiający Matkę Boską bolesną. Obraz to był wprawdzie niezbyt wytwornego pędzla, lecz wyraz twarzy, jaki malarz potrafił przelać w łagodne rysy tej Najświętszéj z matek, zdolny był przemówić do najmniej wierzącego serca. Pani Zacniewska wlepiła wzrok w podane sobie malowidło, a z ócz dotąd jéj suchych łzy potoczyły się strumieniem. Rozrzewniony tem pierwszem wrażeniem ksiądz Wiłucki nie starał się jej dłużéj pocieszać, jakby czekając przeminienia gwałtowniejszych boleści; lecz łatwo można było widzieć z twarzy szanownego starca, że to nie stanowiło głównego celu jego przybycia. Minął wreszcie smutny dzień pogrzebu, a za nim lubo czarno i łzawo mijał tydzień za tygodniem. Pani Zacniewska odzyskawszy nanowo zupełne zdrowie, zaczęła według zwyczaju zajmować się obowiązkami gospodyni i pani domu; napróżno jednak szukała pociechy w dręczącéj ją tęsknocie. Wtedy przyszedł jéj na pamięć upominek księdza Wiłuckiego, a pragnąc tę świętą pociechę religijną mieć zawsze przytomną przed swemi oczami, wypytywała wszystkich, coby się stało z obrazem. Lecz pytania jej były próżne; uważała jednakże, że ile razy była o niém wzmianka, poczciwa Małgorzata mieniła się widocznie, lub wychodziła z pokoju, unikając wyjaśnienia. Zdziwiona postępowaniem dobréj kobiety, pani Zacniewska z większém jeszcze usiłowaniem ponowiła poszukiwanie obrazu, a gdy Małgorzata według zwyczaju dawała jéj niedostateczne odpowiedzi, schwyciła ją za rękę, i bystro spojrzawszy w spuszczoną twarz kobieciny, zawołała z naleganiem:

— Małgorzato, po co to tajemnice, ty wiesz gdzie jest mój obraz, odpowiadaj natychmiast.

Piastunka milczała.

— Małgorzato, powtórzyła ze łzami pani Zacniewska, jeżeli ci jest miłą, pamięć mojego syna, któregoś własną wykarmiła piersią, powiedz, co się z nim stało? Małgorzata z głośnem szlochaniem objęła kolana swéj pani i rzekła, jąkając się trwożliwie: — Ale kiedy to ksiądz Wiłucki nie kazał mówić pani.

— Mów, mów, poczciwa kobieto, odezwał się w téj chwili poważny kapłan, wchodząc do pokoju; już teraz możesz odkryć naszę tajemnicę. Spodziewam się córko, dodał, obracając się do zdumionéj dziedziczki, że już balsam religijnéj pociechy zagoił do tego stopnia twoję ranę, iż zdołasz przenieść widok, jaki ci przygotowałem. To mówiąc, podał rękę pani Zacniewskiéj i poprowadził ją ku drzwiom pokoiku zmarłego syna, które od czasu jego śmierci pozostawały zamknięte. Zachwiała się nieszczęśliwa matka, i zaledwie szacunek, jaki miała dla swego przewodnika, potrafił ją skłonić do przestąpienia tego progu, w którym dawniéj witało ją szczebiotanie ukochanego dziecięcia, a który dziś tak okropne budził w jéj sercu wspomnienie. Lecz za otwarciem drzwi dziwne jakieś owionęło ją wzruszenie; rzuciwszy bowiem okiem na miejsce, w którem niegdyś stało łóżeczko chłopczyka, spostrzegła pięknie przystrojony ołtarz, gdzie ów obraz Matki Boskiéj Bolesnéj umieszczony wśród kwiatów i światła, ozdabiał ten mały przybytek; krzyknęła z zadziwienia, i ze łzami zwracając się do księdza Wiłuckiego, przemówiła drżącym głosem:

— Teraz rozumiem, dlaczego tu mnie przyprowadziłeś... Boleść moja stawiona w porównaniu z boleścią tej najczystszéj z matek, mniéj odtąd mieć będzie goryczy.

— Tak odrzekł, ściskając jéj rękę zacny starzec; Bóg zabrał ci syna, otwórz więc serce twoje dla całéj cierpiącéj ludzkości. Oto twoje dzieci; ten obraz właśnie, który na tobie tak błogie sprawił wrażenie, jest także własnością sieroty, mającej prawo do twego zajęcia.

— Czyją? zagadnęła z pośpiechem pani Zacniewska.

— Tereni Skrzelskiéj, odpowiedział ksiądz.

—Jak to, już umarł poczciwy stary Skrzel-

ski, który był niegdyś rządcą w naszych dobrach?

— A umarł, odrzekł smutnie kapłan, wtrącony do grobu utratą żony i przegraniem procesu, pozostawiając jedyną córkę w największym niedostatku samę jednę na świecie.

— O nie, przerwała pani Zacniewska, gdyż odtąd będę się starała zastąpić jej miejsce straconych rodziców; ona posłuży mi za ołtarz ofiarny, na którym złożę moję boleść przed Bogiem.

W parę dni potém Terenia była już w domu swojéj dobrodziejki, wypłacając się jéj serdecznem przywiązaniem i wdzięcznością za udzielony przytułek, a pani Zacniewska stawszy się matką wszystkich sierot w swych obszernych dobrach, żyje dotąd otoczona miłością i szacunkiem, używając owego szczęścia, jakie zwykle znajdują ci, co na własne boleści szukają lekarstwa w uszczęśliwianiu drugich!

Czułek albo niecierpka czuła.

—

Gdzie tylko człowiek rzuci okiem po tym Bożym świecie, znajduje wszędzie niezliczoną liczbę tworów zasługujących na uwagę jego; i potrzeba było niemało lat, ażeby poznać własności i przymioty drzew, krzewów i roślin, jakiemi Opatrzność ubarwiła ziemię. Jest jednakowoż wiele pomiędzy niemi dotąd niepoznanych, lub [w zupełności niezbadanych, a do tych ostatnich należy i czułek, o którym słów kilka powiedzieć wam zamierzyliśmy.

Nieodganioną jest naprzykład przyczyna szczególnej drażliwości całego rodzaju czułków. Drażliwość czyli czułość ta w rozmaity objawia się u nich sposób, i tak:

Czułodrzew, albo czułek wstydliwy. Drzewo to tak jest czułem na wszelkie wpływy zewnętrzne, iż za każdym silniejszym powiewem wiatru, za lada chmurką na niebie, za najlżejszem przysłonieniem światła, opuszcza listki ku ziemi, więdnie, zdaje się zamierać prawie, i tak pozostaje, dopóki drażniąca go przyczyna nie ustanie. Rośnie on powiększej części w południowej Ameryce, lecz w starannie utrzymywanych cieplarniach i u nas chodowanym być może.

Czułek pogodomierz okazuje znowu szczególną czułość na nastąpić mające zmiany powietrza; w czasie pogody silnie rozwinięty, zdaje się radować promieniami słońca, jak tylko zaś zbliża się burza, wtedy zwija i ściska wszystkie swe liście, w ten sposób, iż te wspierając się wzajemnie, łatwiéj nawałnicę znieść potrafią.

W północnej Ameryce znajdują się dwa gatunki *Czułków złośliwych*: jeden z nich zwany *muchołówką* lub *muchałapka*, wydziela z siebie bezprzestannie lepki sok, którym przynęca muchy i inne latające owady; ale zaledwie znęcona muszka siądzie na listku, ten wnet składa się na dwoje i dusi nieoględną. Drugi zaś gatunek ma listki opatrzone dokoła długiemi i sprężystemi włoskami, i jak tylko jakie żyjątko na listku usiądzie, ten się takoż natychmiast zwija, włoski będące na brzegach krzyżują się z sobą, tworząc rodzaj przeźroczystej gęstej siateczki, i w więzieniu tem zatrzymują nieostrożny owad dopóty, dopóki wszelkie ruchy jego nieustaną; gatunek ten zwany jest *siatkowym.*

Czułodrzew, rośnie w Brazylii w Ameryce południowéj. Kwiat ma biały miłego nader zapachu, który osadzony jest na pochylonej zawsze łodydze. Wytrwały na zmiany powietrza, nie znosi jedynie obcego dotknięcia; za zbliżeniem się doń człowieka, lub innego stworzenia, a nawet jakiegobądź przedmiotu, podnosi się nagle pochylona łodyżka, kwiat prostuje się dumnie, a liście, jakby osłonić go chciały, podnoszą się również w tejże chwili do góry.

Zauważano, iż przeciąwszy nagle ostrym nożem łodygę czułodrzewu, na żelazie widzieć się daje plamka czerwona, do kropli krwi podobna.

Mieszkańcy Senegalu, w zachodniej Afryce, gdzie się znajduje wiele odmian czułków, zowią krzew ten w narzeczu swojem *guera kias*, co znaczy *dzień dobry;* utrzymują bowiem, iż niespokojność i pochylanie się jego listków, jest oznaką powitania i radości okazywanych nawiedzającej go istocie.

Do szczególniejszej odmiany czułków, należy *Czułek kufelkowy*, rosnący najpowszechniej na wyspie Madagaskar, położonej przy brzegach Afryki południowej. Roślina ta ma liście podłużne; od końca każdego liścia, wy-

biega cieniutka, w górę zagięta łodyżka, a na niej kwiateczek w kształcie kufelka z pokrywką. Pokrywka ta przymknięta w nocy, otwiera się ze wschodem słońca, i daje widzieć zebraną w głębi kwiatu najczyściejszą wodę, która obok tego wyborny smak posiada. Cudowna owa własność dobroczynnej tej rośliny, jak z jednej strony jest przedmiotem podziwu dla wędrowca, tak z drugiej zwracać winna serce jego ku Stwórcy za opatrzny ten dar w kraju gorącym, skąpo w źródła zaopatrzonym, gdyż 8 do 10 takich kufelków wystarcza do ugaszenia pragnienia jednej osoby.

Oprócz zwykłego otwierania się co rano, pokrywka odskakuje za najlżejszem dotknięciem, a gdy się kufelek przepełni, wzniesiona w górę łodyżka, pochyla się zwolna, a zbyteczna w kielichu kwiatu woda, skrapia spieczoną ziemię. Jaka siła porusza tę roślinę?... czy woda w kufelkach zawarta tworzy się z wieczornej rosy, lub z soków z ziemi ciągniętych? tego dotąd uczeni dostatecznie nie zbadali. Zostawmy im ten mozół, a sami pochylmy w pokorze głowę przed Tym, który stworzywszy tyle rzeczy dla pożytku człowieka, dozwoliwszy mu poznać korzyści, jakie z nich osiągnąć może, tajemnicą jedynie pokrył siły, jakiemi tego dokonywa.

Nasza zwyczajna akacya, także pewne przymioty czułków posiada; zrana bowiem przed wschodem słońca liście jej są równolegle przy łodydze rozpostarte, w miarę zaś jak słońce wznosić się poczyna, i one wznoszą się także ku temu rozdawcy światła i ciepła. Wieczorem znowu, kiedy blask jego niknąć poczyna z widnokręgu, to i akacya gałązki swoje ku ziemi pochyla, zdając się żegnać tem złote jego promienie.



Listy.

— X. Ignacemu Pir.... wikaryuszowi Pia.. przesyłamy odpowiedź, iż artykuł jego o sługach nie może być podawany czytelnikom pisma ludowego; nie należało było dopuszczać tak niezwykłego rozprężenia służby. W wyborze nie tylko przedmiotu samego, ale i w sposobie obrobienia go dla ludu, trzeba być bardzo oględnym. Sądzimy, iż i szanowny autor to zdanie podzieli. Oczekujemy przeto od niego dalszych artykułów i obrazów, z życia ludowego czerpanych.

— Wydrukowawszy z nadesłanych nam przez autorkę *w Imię Boże* prac, te, które dla Czytelni pisane były, oczekujemy dalszego jej współpracownictwa; wszak ta *miłość prawdy i głęboka a żywa wiara*, pod godłem których szlachetną pomoc pismu naszemu przyobiecała, toć to najobfitsze źródła, w których natchnienie czerpać będzie.

— Wierszyki pana S. Was... z Pust... pod tytułem *Pamięć odjazdu brata, i Stanisław*, mimo pięknego uczucia miłości braterskiej, jaką w nich autor wystawia, nie mogą być drukowane w Czytelni, podobnie jak i wierszyk pod tytułem *Do wódki*, Kon. Saw... z Janowa Podlaskiego. Niech się jednak autor nie zraża tą odpowiedzią, zwłaszcza, gdy jak sam oświadcza, jest to pierwsza jego próba.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 4 (16) września 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*